

K A T E Q U I N N

S I E Ć

A L I C E

Przełożyła  
Nina Dzierżawska

MANDO 

Powieść *Sieć Alice* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published under the title *The Alice Network*

© Kate Quinn, 2017  
All rights reserved

Opublikowane w porozumieniu z HarperCollins. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2020

Rozdziały 38 i 45 przełożyła Aleksandra Żak

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Everett Collection/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2450-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Mamie  
Mojej pierwszej czytelniczce, krytyczce i fance.

To dla Ciebie



---

**I**

---



# I

## CHARLIE

*Southampton, maj 1947*

Pierwsza osoba, którą spotkałam w Anglii, była wytworem halucynacji. Przypłynęła na spokojnym pokładzie liniowca wiozącego mnie, znękaną i otępiałą z żalu, z Nowego Jorku do Southampton.

Siedziałam naprzeciwko matki przy wyplatany stoliku wśród doniczkowych palm w hotelu Dolphin, usiłując nie zwracać uwagi na to, co sugerował mi wzrok. Blondynka obok recepcji nie była tym kimś, na kogo mi wyglądała. Wiedziałam, że nie jest. To była po prostu jakaś młoda Angielka czekająca przy bagażach swojej rodziny, ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałam – a jednak mój umysł nie przestawał mnie przekonywać, że jest inaczej. Odwróciłam wzrok i spojrzałam na trzech angielskich chłopaków przy sąsiednim stoliku zajętych kombinowaniem, jak się wymigać od wręczenia kelnerce napiwku.

– Pięć procent czy dziesięć? – pytał, machając rachunkiem, ten w uniwersyteckim krawacie, a jego koledzy się śmiali. – Ja coś zostawiam tylko wtedy, gdy są ładne. Ta miała za chude nogi...

Posłałam im niechętnie spojrzenie, za to moja matka zupełnie nie zwracała na nich uwagi.

– Co za zimny i mokry maj, *mon Dieu!* – Rozłożyła na kolanach serwetkę, spowita w szeleszczące jedwabie, kobieca i pachnąca lawendą, siedząc obok stosu naszych bagaży. Zupełnie inaczej niż ja, wymięta i zła na cały świat. – Łopatki razem, *chérie*. – Od czasu ślubu

z moim ojcem mieszkała w Nowym Jorku, lecz wciąż przeplatała swoje wypowiedzi francuskimi zwrotami. – Przestań się garbić.

– Nie mogę się garbić, mając na sobie to coś.

Siedziałam ściśnięta pasem wyszczuplającym niczym żelazną obręczą; wprawdzie byłam chuda jak patyk, jednak bez tego pasa moja marszczona koronkowa spódnica nie układałaby się jak należy, toteż byłam skazana na żelazną obręcz. Niech diabli wezmą Diora razem z tym jego New Lookiem. Matka zawsze nadażała za modą, a jej sylwetka idealnie pasowała do najnowszego stylu: wysoka, wąska w talii i krągła wszędzie tam, gdzie powinna; w swoim podróżnym kostiumie przypominała deser z bitą śmietaną. Ja także miałam na sobie szykowny kostium, ale tonęłam w tych wszystkich falbanach. Rok 1947 był piekłem dla drobnych, chudych dziewcząt, takich jak ja, które źle wyglądały w kreacjach Diora. Choć właściwie dotyczyło to każdej młodej damy lubiącej bardziej rozwiązywać zadania matematyczne niż czytać „Vogue”, słuchać Édith Piaf, a nie Artiego Shawa, a także każdej dziewczyny bez obrączki, za to z rosnącym brzuchem.

Wszystkie te trzy rzeczy charakteryzowały mnie, Charlie St. Clair. To był drugi powód, dla którego matka nalegała na pas wyszczuplający. Wprawdzie byłam dopiero w trzecim miesiącu, ona jednak nie zamierzała ryzykować ujawnienia, jaką to dziwkę wydała na ten świat.

Ukradkiem zerknęłam na drugą stronę patio. Blondynka stała tam nadal, a mój mózg wciąż usiłował mi wmówić, że jest kimś, kim na pewno nie była. Jeszcze raz odwróciłam wzrok, mrugając powiekami. Tymczasem do naszego stolika podeszła uśmiechnięta kelnerka.

– Czy zostaną panie na podwieczorek?

Rzeczywiście miała chude, kościste nogi, a gdy przyjęła nasze zamówienie i ruszyła pospiesznie w stronę kuchni, chłopcy przy sąsiednim stoliku dalej biedzili się nad napiwkami.

– Pięć szylingów za każdą herbatę. Zostaw jej dwa pensy i już...



Nasz podwieczorek przyniesiono wkrótce przy akompaniamencie brzęku kwicistej porcelany. Matka się rozpromieniła.

– Poproszę jeszcze trochę mleka. *C'est bon!*

Choć tak naprawdę wcale nie było to takie *bon*. Małe twarde drożdżówki, wyschnięte tartinki i żadnego cukru. Chociaż Dzień Zwycięstwa miał miejsce dwa lata temu, w Anglii dalej racjonowano żywność, a w menu nawet wytwornych hoteli wciąż odczuwało się narzucone odgórnie ograniczenia – nie więcej niż pięć szylingów na osobę. Powojenny kac dawał tutaj o sobie znać bez porównania wyraźniej niż w Nowym Jorku. Przez hotelowy dziedziniec nadal dryfowali żołnierze w mundurach, flirtując z pokojówkami, a godzinę temu, gdy wysiadałam z liniowca, zwróciłam uwagę na zbombardowane domy szpecące okolicę tak, jak wybite zęby psują ładny uśmiech. Moje pierwsze spojrzenie na Anglię – od nabrzeża po hotelowy dziedziniec wyglądała na szarą i wyczerpaną wojną, i wciąż wstrząśniętą aż do głębi. Zupełnie jak ja.

Sięgnęłam do kieszeni wrzosowego żakietu, dotykając karteczki, która znajdowała się tam od miesiąca niezależnie od tego, czy miałam na sobie podróżny kostium czy piżamę, tyle że nie wiedziałam, co z tą kartką począć. Co właściwie mogłam z nią zrobić? Nie miałam pojęcia, a mimo to wydawała się cięższa niż dziecko, które nosiłam. Jego w ogóle nie czułam, nie mówiąc już o ustaleniu, jakie emocje tak naprawdę we mnie budzi. Nie miałam porannych mdłości ani zachcianek typu grochówka z masłem orzechowym, ani żadnych innych rzeczy, jakie powinna mieć dziewczyna, której przytrafiła się wpadka. Byłam tylko odrętwiała. Nie mogłam uwierzyć w to dziecko, bo w gruncie rzeczy niczego nie zmieniło. Poza całym moim życiem.

Chłopcy przy sąsiednim stoliku wstali, rzucając na blat kilka pensów. Zobaczyłam kelnerkę, która wracała do nas z mlekiem – szła, jakby bolały ją stopy – i podniosłam wzrok na trzech młodych Anglików kierujących się do wyjścia.

– Przepraszam – odezwałam się i zaczęłam, aż się odwróca. – Pięć szylingów za każdy podwieczorek; rachunek na piętnaście szylingów daje dziewięć pensów w przypadku pięcioprocentowego napiwku. Przy dziesięciu procentach byłby to szyling i sześć pensów.

Popatrzyli na mnie ze zdumieniem. Byłam do tego przyzwyczajona. Nikt nie wierzył, że dziewczęta w ogóle potrafią liczyć, tym bardziej w głowie, i to dotyczyło nawet bardzo prostych rachunków. Jednak ja studiowałam w Bennington matematykę – liczby miały dla mnie sens, były uporządkowane, racjonalne i łatwe do zrozumienia w odróżnieniu od ludzi – i nie istniał taki rachunek, którego nie potrafiłabym sama podliczyć prędzej niż z pomocą sumatora.

– Dziewięć pensów albo szyling i sześć pensów – powtórzyłam ze znużeniem wpatrującym się we mnie chłopakom. – Zachowajcie się po dżentelmeńsku. Zostawcie dziesięć procent.

– Charlotte – syknęła matka, gdy chłopcy wyszli ze skwaszonymi minami. – To było bardzo nieuprzejme.

– Dlaczego? Przecież powiedziałam „przepraszam”.

– Nie wszyscy dają napiwki. I nie powinnaś była się wtrącać. Nikt nie lubi narzucających się dziewcząt.

Ani dziewcząt studiujących matematykę, ani takich, które raptem zachodzą w ciążę, ani... Opuściłam sobie tę wyliczankę, byłam zbyt zmęczona, by się kłócić. Przez sześć dni płynęłyśmy przez Atlantyk w jednej kabinie – ze względu na niepogodę dłużej, niż zapowiadano – i te dni wypełniła nam seria nerwowych sprzeczek przechodzących z czasem w jeszcze bardziej niezręczną wzajemną uprzejmość. Pod tym wszystkim kryło się moje zawstydzone milczenie i jej bezgłośna wściekłość. Właśnie dlatego natychmiast skorzystałyśmy z okazji, by spędzić jedną noc na lądzie – gdybyśmy nie wyrwały się z ciasnego zamknięcia kajuty, rzuciłybyśmy się sobie do gardeł.

– Twoja mama jest w każdej chwili gotowa się na kogoś rzucić – zauważyła moja francuska kuzynka Rose wiele lat temu, gdy

*maman* palnęła nam dziesięciominutowe kazanie, bo słuchałyśmy Édith Piaf. „To nie jest muzyka dla małych dziewczynek, przecież to nieprzyzwoite!”

Cóż, tym razem zrobiłam coś znacznie bardziej nieprzyzwoitego niż słuchanie francuskiego jazzu. I teraz mogłam tylko odpychać od siebie emocje, póki nie przestałam ich czuć, i bronić się przed ludźmi hardo zadartym podbródkiem mówiącym: „A co mi tam”. Zadziałało to całkiem niezłe na niesympatycznych chłopaków, którzy nie zostawiliby kelnerce napiwku, lecz matka potrafiła w dowolnej chwili przebić się przez ten pancierz.

Teraz trajkotała w najlepsze, narzekając na naszą podróż.

– ... wiedziałam, że trzeba było popłynąć następnym statkiem. Zawiózłby nas prosto do Calais, zamiast urządzać jakiś niedorzeczny przystanek w Anglii.

Milczałam. Jedna noc w Southampton i jutro prosto do Calais, skąd pociąg zabierze nas do Szwajcarii. W Vevey była pewna klinika, w której matka umówiła mnie na dyskretną wizytę. „Charlie, bądź wdzięczna” – powtórzyłam sobie po raz tysięczny. Przecież ona wcale nie musiała ze mną jechać. Mogła mnie wysłać do Szwajcarii z sekretarką ojca czy inną obojętną płatną opiekunką. Moja mama nie miała obowiązku rezygnować z urlopu w Palm Beach tylko po to, żeby osobiście zawieźć mnie na tę wizytę. Ona jest tu z tobą, upomniałam siebie samą. Robi, co może. Doceniałam to mimo spowijających mnie oparów dusznego wstydu i złości. Przecież miała prawo być na mnie wściekła, uważać mnie za dziwkę i awanturnicę. Takie właśnie były dziewczęta, które pakowały się w coś takiego jak ja. Pora przyzwyczaić się do tej etykiety.

*Maman* paplała dalej z uporczywą beztroską:

– Pomyślałam, że możemy się wybrać do Paryża po twojej Wizycie. – Za każdym razem, gdy wymawiała to słowo, słyszałam wielką literę na początku. – Kupimy ci jakieś porządne ubrania, *ma petite*. Zrobimy coś z włosami.

Tak naprawdę mówiła: „Jesienią wrócisz na uczelnię całkiem odmieniona i szykowna i nikt się nie dowie o twoim Drobnym Kłopocie”.

– *Maman*, naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, żeby to równanie się zgodziło.

– Jakie równanie? Co masz na myśli?

Westchnęłam.

– Jedna studentka drugiego roku minus jedna drobna niedogodność podzielone przez upływ sześciu miesięcy i pomnożone przez dziesięć sukienek z Paryża plus nowa fryzura nie pozwoli mi w magiczny sposób odzyskać nieskazitelnej reputacji.

– Życie to nie zadanie z matematyki, Charlotte.

Gdyby nim było, na pewno radziłabym sobie o wiele lepiej. Często żałowałam, że nie potrafię rozgryźć ludzi równie łatwo jak zadań: po prostu sprowadzić do wspólnego mianownika i rozwiązać. Liczby nie kłamią; zawsze istnieje odpowiedź, która jest albo poprawna, albo niepoprawna. Proste. W życiu jednak nic nie było proste i nie miałam tu odpowiedzi, której wystarczyło poszukać. Tylko jeden wielki bałagan w postaci Charlie St. Claire siedzącej przy stoliku ze swoją matką, z którą nie miały wspólnego mianownika.

*Maman* popijała słabą herbatę promiennie uśmiechnięta, ale wciąż z urazą w sercu.

– Zapytam, czy nasze pokoje są gotowe. Nie garb się! I nie spuszczaaj z oka sakwojażu, masz w nim perły po babce.

Odplynęła w stronę długiego marmurowego kontuaru i uwijających się za nim pracowników, a ja sięgnęłam po swoją walizkę – kanciastą i wysłużoną; nie było czasu obstałować nowego eleganckiego bagażu. Miałam pół paczki gauloisesów schowanych pod płaską kasetką z perłami (tylko moja matka mogła się uprzeć, żebym zabrała ze sobą biżuterię do szwajcarskiej kliniki). Z przyjemnością zostawiłabym bagaż razem z perłami na pastwę złodziei, gdybym tylko mogła się wymknąć na zewnątrz i zapalić. Moja kuzynka Rose i ja pierwszy raz

spróbowałyśmy papierosów w wieku odpowiednio trzynastu i jedenastu lat, zwędziwszy paczkę mojemu starszemu bratu. Wdrapałyśmy się na drzewo, żeby się przekonać, na czym polega ten nałóg dorosłych.

– Wyglądam jak Bette Davis? – spytała Rose, usiłując wydmuchać dym przez nos. Omal nie zleciałam z drzewa, chichocząc i kaszląc na przemian po zaciągnięciu się ten jeden jedyny raz, a ona pokazała mi język. – Charlie, ty głuptasie!

Nikt poza Rose nie nazywał mnie Charlie zamiast Charlotte; ona robiła to z francuska – *Szar-li*, akcent na obu sylabach.

Oczywiście to Rose widziałam teraz przed sobą, jak spogląda na mnie z drugiej strony dziedzińca. I jednocześnie nie była to Rose, tylko jakaś młodzianka Angielka oparta niedbale o stertę bagaży, jednak mój mózg uparcie wmawiał mi, że patrzę na swoją kuzynkę: trzynastoletnią blondynkę śliczną jak obrazek. W takim wieku była ostatniego lata, gdy się widziałyśmy, kiedy siedziała na tamtym drzewie ze swoim pierwszym papierosem.

Teraz byłaby starsza, miałam dziewiętnaście lat, więc ona miałaby dwadzieścia jeden...

Jeśli jeszcze żyła.

– Rose – szepnęłam, wiedząc, że powinnam odwrócić wzrok, lecz nie robiąc tego. – Och, Rose.

W mojej wyobraźni uśmiechnęła się szelmowsko i gestem podbródka wskazała ulicę na zewnątrz. Idź.

– Dokąd mam iść? – zapytałam na głos. Ale już wiedziałam. Wcisnęłam rękę do kieszeni i znów dotknęłam kartki, którą nosiłam ze sobą od miesiąca. Początkowo była sztywna i krucha, z czasem zrobiła się miękka i giętka. Na niej był adres. Mogłabym...

„Nie bądź głupia – odezwało się moje sumienie ostrym, potępiającym tonem, który piekł niczym zadraśnięcie krawędzią papieru. – Wiesz, że jedyne miejsce, dokąd pójdziesz, to pokój w hotelu na górze”. Pokój, w którym czeka na mnie świeża pościel i którego nie będę

musiała dzielić z cichą furią matki. Balkon, na którym będę mogła w spokoju zapalić. Jutro ostatnia część podróży statkiem, a potem Wizyta, jak eufemistycznie określali to moi rodzice. Wizyta, która rozwiąże mój Drobny Kłopot, a potem wszystko będzie W Porządku.

Albo mogłam przyznać, że nic nie jest W Porządku i nic takie nie będzie. I ruszyć, w tym momencie, ścieżką, która rozpoczęła się tutaj, w Anglii.

Planowałaś to, szepnęła Rose, dobrze o tym wiesz. I tak było. Nawet przez ostatnich kilka tygodni pogrążona w biernej, tępej rozpaczyci należałam, żebyśmy popłynęły z matką statkiem, który zawijał do Anglii, zamiast późniejszym, który zabrałby nas prosto do Francji. Upierałam się przy tym, nie roztrząsając, dlaczego to robię: dlatego, że w kieszeni miałam pewien angielski adres, a teraz, gdy nie dzielił mnie już od niego ocean, brakowało mi jedynie odwagi, żeby tam pojechać.

Nieznajoma Angielka, która nie była Rose, już sobie poszła; ruszyła w stronę schodów w towarzystwie obładowanego boya hotelowego. Spojrzałam na puste miejsce po Rose. Dotknęłam karteczki w kieszeni. Przez moje odrętwienie przebiły się strzępy jakiegoś uczucia. Strachu? Nadziei? Determinacji?

Jeden nabazgrany adres plus szczypta determinacji podniesiona do dziesiątej potęgi. Masz przed sobą równanie, Charlie.

Rozwiąż je.

Znajdź  $x$ .

Teraz albo nigdy.

Nabrałam powietrza do płuc. Wyciągnęłam karteczkę, a z nią pomięty banknot jednofuntowy. Niecierpliwie rzuciłam go na stolik obok, na którym hałaśliwi chłopcy zostawili swój nędzny napiwek, i wymaszerowałam z hotelu, ściskając swoją walizkę i francuskie papierosy. Przeszłam przez szerokie drzwi i zwróciłam się do portiera:

– Przepraszam, czy może pan mi powiedzieć, jak dojść na dworzec kolejowy?



Nie był to najmądrzejszy z moich pomysłów: nieznanne miasto, samotna dziewczyna. Ostatnich kilka tygodni spędziłam w takim oszołomieniu – Drobny Kłopot, krzycząca po francusku matka, lodowate milczenie ojca – że byłam gotowa dać się poprowadzić dokądkolwiek. Pomaszerowałam w przepaść, bezmyślna i posłuszna, i pewnie zauważyłabym, że spadam, dopiero w połowie drogi w dół. Jeszcze przed chwilą leciałam w otchłań, jaką stało się moje życie, obracając się bez końca w powietrzu. Lecz teraz udało mi się czegoś chwycić.

Owszem, tym czymś była halucynacja; zjawą, którą widywałam od miesięcy, mój mózg upierał się bowiem przy nadawaniu rysów twarzy Rose każdej mijającej mnie młodej blondynce. Za pierwszym razem bardzo się przestraszyłam, i to nie dlatego, żebym uznała Rose za ducha, lecz pomyślałam, iż tracę rozum. Może i byłam szalona, ale nie widziałam duchów. Bez względu na to, co mówili moi rodzice, nie do końca wierzyłam, że moja kuzynka nie żyje.

Trzymałam się tej nadziei, biegnąc w stronę dworca kolejowego na wysokich korkowych obcasach swoich niepraktycznych butów („dziewczęta niskie jak ty, *ma chère*, muszą chodzić na obcasach, inaczej zawsze będziesz wyglądała jak mała dziewczynka”). Przepychałam się przez tłum robotników idących rozkołysanym krokiem ku nabrzeżu, schludnie ubranych ekspedientek, żołnierzy wystających na rogach ulic. Biegłam tak długo, aż zabrakło mi tchu, i pozwalałam nadziei rozkwitnąć, wypełnić mnie bólem, od którego zapiekły mnie oczy.

„Wracaj, jeszcze możesz wrócić – upominał mnie ostry głos sumienia. – Do pokoju w hotelu, do matki podejmującej wszystkie decyzje, do spowijającej cię jak wata mgły obojętności”. Lecz ja biegłam dalej.

Usłyszałam gwizd pociągu i poczułam zapach sadzy i obłoków pary. Dworzec Southampton Terminus. Z pociągu wylewali się pasażerowie: mężczyźni w kapeluszach, marudne dzieci o czerwonych buziach, kobiety unoszące nad głowami pomięte gazety, by ochronić fryzurę przed mżawką. Kiedy zaczęło padać? Czułam, jak moje ciemne włosy robią się oklapłe pod zielonym kapeluszem, który wybrała dla mnie matka; tym, w którym wyglądałam jak irlandzki skrzat.

Konduktor coś krzyczał. Odjazd za dziesięć minut, kierunek Londyn.

Jeszcze raz spojrzałam na ścisną w dłoni kartkę. Hampson Street numer 10, Pimlico, Londyn. Evelyn Gardiner.

Kim u licha była ta kobieta.

Matka pewnie już szukała mnie w Dolphinie, wygłaszając do pracowników hotelu nieznośne sprzeciwy monologi. Mnie to jednak nie obchodziło. Byłam zaledwie sto dwadzieścia kilometrów od Hampson Street numer 10, Pimlico, Londyn, a pociąg stał przed moim nosem.

– Pięć minut! – ryknął konduktor. Pasażerowie zaczęli pospiesznie gramolić się do środka, wciągając za sobą bagaże.

„Jeśli teraz nie pojedziesz, nie zrobisz tego nigdy”, pomyślałam.

Kupiłam więc bilet, wsiadłam do pociągu i w jednej chwili zniknęłam w kłębach dymu.



Popołudnie przeszło w wieczór, w wagonie zrobiło się zimno. Otuiliłam się swoim starym czarnym płaszczem przeciwdeszczowym. W przedziale poza mną była siwowłosa kobieta z trojgiem wnucząt pociągających nosami. Babcia spojrzała z niechęcią na moją gołą dłoń bez obrączki, jakby chciała spytać, co to za dziewczyna podróżuje do Londynu bez towarzystwa. W czasie wojny dziewczęta



z pewnością często jeździły same pociągami, jej jednak wyraźnie się nie spodobałam.

– Jestem w ciąży – powiedziałam, gdy cmoknęła z dezaprobatą po raz trzeci. – Chce pani zmienić przedział?

Zesztywniała i wysiadła na najbliższej stacji, ciągnąc za sobą wnuki, które jęczały:

– Ale, babciu, mieliśmy wsiąść dopiero...

Zadarłam brodę i po raz ostatni spojrzałam jej w oczy z miną „a co mi tam”, gdy zaś drzwi się za nią zamknęły i wreszcie zostałam sama, opadłam na siedzenie. Przycisnęłam dłonie do zarumienionych policzków, roztrzęsiona, skołowana, pełna nadziei i poczucia winy. Tyle emocji, że niemal w nich tonęłam. Brakowało mi dawnej skorupy odrętwienia. Co jest ze mną nie tak?

„Ruszasz w Anglię z adresem i nazwiskiem – odezwał się mój ostry wewnętrzny głos. – I co niby zrobisz? Jesteś rozbita i kompletnie bezradna, w jaki sposób masz komukolwiek pomóc?”

Wzdrygnęłam się. Nie jestem bezradna.

„Owszem, jesteś. Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, gdy próbowałaś komuś pomóc?”

– A teraz znowu próbuję – powiedziałam głośno do pustego przedziału. Rozbita i bezradna czy nie, w każdym razie byłam tutaj.



Zapadła już noc, gdy chwiejnym krokiem wysiadłam z pociągu w Londynie, zmęczona i wygłodniała. Powlokłam się w stronę ulicy, a miasto kłębiło się przede mną w całym swoim ciemnym, zadymionym ogromie; w oddali dostrzegłam sylwetkę potężnej wieży zegarowej, górującej nad Westminsterem. Stałam tak jakiś czas, ochlapywana przez przejeżdżające samochody, i zastanawiałam się, jak musiał wyglądać Londyn jeszcze kilka lat temu, gdy mgłę przecinały spitfire'y

i messerschmitty. Po chwili otrząsnęłam się z tej myśli. Nie miałam pojęcia, gdzie jest Hampson Street 10, a w portfelu zostało mi tylko kilka monet. Zatrzymując taksówkę, modliłam się, żeby to wystarczyło. Naprawdę mi się nie uśmiechało odrywać perłę z naszyjnika babci tylko po to, aby zapłacić za taksówkę. Może nie powinnam była zostawiać kelnerce całego funta... Mimo wszystko nie żałowałam.

Kierowca zawiózł mnie w miejsce, które nazwał „Pimlico”, i wysadził przy szeregu niskich domów. Rozpadało się na dobre. Rozejrzałam się w poszukiwaniu wytworu swojej halucynacji, ale nigdzie nie było widać błysku blond włosów. Nic, tylko ciemna ulica, zacinający deszcz, zniszczone stopnie domu pod numerem 10 prowadzące do obokurnych drzwi obłazących z farby. Dźwignęłam walizkę, wspięłam się po schodach i zastukałam kołatką, nie czekając, aż opuści mnie odwaga.

Żadnej odpowiedzi. Zastukałam znowu. Padało coraz mocniej i poczułam wzbierającą falę rozpacz. Walałam i walałam, aż rozboleła mnie pięść. Wreszcie dojrzałam leciutkie drgnięcie zasłony za drzwiami.

– Wiem, że ktoś tam jest! – Szarpnęłam za klamkę, oślepią deszczem. – Proszę mnie wpuścić!

Ku mojemu zaskoczeniu klamka się obróciła, a ja wpadłam do środka i od razu się przewróciłam w swoich niepraktycznych butach, upadłam na kolana na podłodze ciemnego korytarza i rozdarłam pończochy. Drzwi się zamknęły i usłyszałam trzask odbezpieczanego pistoletu.

Jej głos był niski, chropowaty, niewyraźny i wściekły.

– Kim jesteś i co, do kurwy nędzy, robisz w moim domu?

Rozmyte światło ulicznych latarni przedostawało się przez zasłony, tylko trochę rozpraszając mrok korytarza. Widziałam w nim wysoką, wychudłą postać, kosmyk włosów i żar palącego się papierosa. Błysnęła lufa pistoletu wycelowanego prosto we mnie.

Powinłam była czuć przerażenie, odskoczyć ze strachu przed pistoletem i być zszokowana językiem. Jednak moja wściekłość wymiotła resztki mgły otępienia. Podniosłam się, jeszcze bardziej rozdzierając pończochę.

– Szukam Evelyn Gardiner.

– Mam gdzieś, kogo szukasz. Jeśli zaraz mi nie powiesz, czemu jakaś jankeska włamuje mi się do domu, zastrzelę cię. Może i jestem stara i pijana, ale to jest Luger Po8, kaliber 9 milimetrów, w idealnym stanie. Trzeźwa czy pijana, z tej odległości mogą ci odstrzelić tył głowy.

– Nazywam się Charlie St. Clair – powiedziałam, odgarniając z twarzy mokre włosy. – Moja kuzynka Rose Fournier zaginęła we Francji w czasie wojny, a pani może wiedzieć, jak ją odnaleźć.

Nagle zapaliła się elektryczna lampa. Zamrugałam, oślepią ostрым światłem. Przede mną stała wysoka, chuda kobieta ubrana w wypłowiałą wzorzystą sukienkę, jej zniszczoną twarz otaczały siwiejące włosy. Mogła mieć pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze siedemdziesiąt. W jednej ręce trzymała lugera, w drugiej palącego się papierosa. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy przyjrzałam się jej dłoniom. Mój Boże, co się stało z jej dłońmi?

– To ja jestem Eve Gardiner – powiedziała wreszcie. – I nic nie wiem o tej twojej kuzynce.

– Może jednak? – odparłam zdesperowana. – Jeśli pani ze mną porozmawia, może jednak okaże się, że coś pani wie.

– Tak to sobie wymyśliłaś, jankesko? – Wpatrywała się we mnie zmrużonymi ciemnoszarymi oczami niczym pogardliwy, drapieźny ptak. – Pakujesz mi się do domu w nocy, bez planu, i założę się, że bez pieniędzy, w nadziei że będę coś wiedziała o twojej z-zaginionej koleżance?

– Tak. – Widząc jej pogardę oraz pistolet, nie mogłam zrozumieć, czemu szansa na odnalezienie Rose stała się nagle jedynym celem mojego złamanego życia. Nie rozumiałam tej przedziwnej, dzięki desperacji, która mnie tu zaprowadziła. – Musiałam tu przyjechać.

– Cóż. – Eve Gardiner opuściła pistolet. – Pewnie chcesz się napić h-herbaty.

– Tak, to byłoby bardzo...

– Ale nie ma. – Odwróciła się i ruszyła w głąb ciemnego korytarza długim, niepewnym krokiem. Jej bosc stopy wyglądały jak orle szpony. Trochę się zataczała, wymachując lugerem. Zauważyłam, że cały czas trzyma palec na spuście. „Wariatka – pomyślałam – to babsko kompletnie zwariowało”. W dodatku te jej dłonie: potworne i guzowate, a każdy staw groteskowy i zdeformowany. Wyglądały raczej jak szczypcyce homara niż dłonie.

– Nie guzdraj się – powiedziała, nie odwracając się, więc pobiegłam za nią. Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Moim oczom ukazał się zimny salon: potworny bałagan, w kominku nie napalone, zasłony zaciągnięte tak, żeby z ulicy nie wpadało do środka ani trochę światła, wszędzie walające się stare gazety i brudne filizanki po herbacie.

– Pani Gardiner...

– Panno. – Opadła na zniszczony fotel, z którego miała widok na cały pokój, i rzuciła pistolet na stojący obok stolik. Skrzywiłam się. – I możesz mi mówić po imieniu. Skoro w-wpakowałaś mi się do domu, to wymusiłaś na mnie jakiś rodzaj bliskości, za co już cię nie lubię. Jak się nazywałeś?

– Wcale nie chciałam się narzucać...

– A właśnie, że chciałaś. Czegoś chcesz, i to bardzo. O co chodzi?

Z trudem wydobyłam się z mokrego płaszcza i usiadłam na puście, nagle zupełnie nie wiedząc, od czego zacząć. Tak bardzo byłam skupiona na dotarciu tutaj, że nie zastanowiłam się, co właściwie powinnam powiedzieć. Dwie dziewczyny razy jedenaście lat podzielić przez jeden ocean i jedną wojnę...

– N-no już, zaczynaj. – Eve chyba trochę się jąkała, ale nie byłam pewna, czy to przez alkohol, czy z innego powodu. Sięgnęła po kryształową karafkę stojącą obok pistoletu i odkorkowała ją,

niezdarnie manewrując przy niej okaleczonymi palcami. Poczułam zapach whisky. – Niedługo nie będę już taka trzeźwa, więc lepiej nie marnuj czasu.

Westchnęłam. To nie tylko stara wariatka, ale w dodatku jeszcze stara pijaczka. Widząc takie nazwisko jak Evelyn Gardiner, wyobrażałam sobie kogoś z ligustrowym żywopłotem i eleganckim kokiem, a nie z karafką whisky i naładowanym pistoletem.

– Czy mogę zapalić?

Wzruszyła kościstymi ramionami i gdy ja wyciągnęłam swoje gauloises’y, ona sięgnęła po szklankę. Nie było żadnej w zasięgu jej ręki, więc nałała bursztynowy płyn do filiżanki w kwiatki. „Boże – pomyślałam, zapalając papierosa, trochę zafascynowana, a trochę z odrazą. – Kim ty jesteś?”

– Nieuprzejmie tak się gapić – powiedziała, patrząc na mnie tak samo lustrująco jak ja na nią. – Jezu, ile tych falbanek, to kobiety tak się teraz ubierają?

– Czy ty w ogóle wychodzisz z domu? – spytałam, nim zdążyłam się powstrzymać.

– Niewiele.

– To się nazywa New Look. Tak teraz chodzą w Paryżu.

– Wygląda ch-cholernie niewygodnie.

– I takie jest. – Zaciągnęłam się z ponurą miną. – No dobrze. Nazywam się Charlie St. Clair, to znaczy Charlotte, i właśnie przyjechałam z Nowego Jorku. – Co by teraz pomyślała moja matka? Pewnie oszalałaby z wściekłości i byłaby gotowa mnie oskalpować. Ale odłożyłam tę myśl na bok. – Mój ojciec jest Amerykaninem, a matka Francuzką. Przed wojną spędzaliśmy wakacje we Francji z moją francuską rodziną. Oni mieszkali w Paryżu i mieli letni dom niedaleko Rouen.

– Twoje dzieciństwo brzmi jak piknik z obrazów Degas. – Eve pociągnęła łyk whisky. – Powiedz w-wreszcie coś ciekawego, bo inaczej będę szybciej pić.

To rzeczywiście było jak z Degas. Wystarczyło, że zamknęłam oczy, i wszystkie te wakacje zwały się w jedną mglistą wizję: wąskie, kręte uliczki, stare wydania „Le Figaro” porozrzucane po starym domu pełnym zakamarków, zabałaganionych strychów i sfatygowanych sof, promienie słońca przebijające się przez liście i wpadające do domu, by oświetlić kłębki kurzu.

Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

– Moja kuzynka Rose Fournier jest dla mnie jak starsza siostra. Jestem od niej dwa lata młodsza, ale nigdy mnie nie lekceważyła. Wszystkim się ze sobą dzieliłyśmy i wszystko sobie opowiadałyśmy.

Dwie dziewczynki w letnich sukienkach pobrudzonych trawą bawiące się w berka, wspinające się na drzewa i toczące wściekłą wojnę ze swoimi braćmi. Potem dwie starsze dziewczyny: Rose już trochę urosły piersi, a ja nadal byłam koścista i miałam obtarte kolana; szczebiotałyśmy, słuchając jazzu, i chichotałyśmy, obie zakochane w Errolu Flynnie. Rose była tą odważną i wciąż miała szalone pomysły, a ja byłam jej wiernym cieniem, którego broniła jak lwica, gdy przez jej pomysły pakowałyśmy się w tarapaty. Usłyszałam jej głos tak nagle, jakby rzeczywiście stała obok w salonie: „Charlie, schowaj się w moim pokoju, a ja zaceruję twoją sukienkę, zanim mama zauważy dziurę. Nie powinnam była cię zabierać na te skały”...

– Błagam, nie płacz – powiedziała Eve Gardiner. – Nie znoszę płaczących kobiet.

– Ja też. – Przez wiele tygodni nie uroniłam nawet jednej łzy, ale teraz oczy mnie paliły, więc zaczęłam mocno mrugać. – Ostatni raz widziałam Rose w lecie trzydziestego dziewiątego. Wszyscy byli zaniepokojeni sytuacją w Niemczech, wszyscy oprócz nas. Rose miała trzynaście lat, ja jedenaście i myślałyśmy tylko o tym, by codziennie wymknąć się do kina. To wydawało nam się znacznie ważniejsze od wszystkiego, co się działo w Niemczech. Polska została zaatakowana tuż po moim powrocie do Stanów. Moi rodzice chcieli, żeby

rodzina Rose przyjechała do Ameryki, ale oni się wahali... – Matka Rose była przekonana, że jest zbyt delikatna, by podróżować. – Zanim zdążyli wszystko zorganizować, Francja się poddała.

Eve przełknęła kolejny łyk whisky, jej oczy, przysłonięte opadającymi powiekami, nie mrugały. Ja znów się zaciągnęłam, by się uspokoić.

– Dostawałam listy – powiedziałam w końcu. – Ojciec Rose był wysoko postawionym przedsiębiorcą i miał znajomości, więc rodzina mogła czasem wysłać komuś parę słów. – Listy Rose były wesołe. Wciąż pisała o tym, co będzie, jak się znów zobaczymy. Jednak my znaleźliśmy najświeższe wiadomości, wszyscy wiedzieli, co się tam dzieje: flagi ze swastykami powiewające nad Paryżem, ludzie wywożeni ciężarówkami i znikający bez śladu. Błagałam, by pisała mi, czy u niej naprawdę wszystko w porządku, a ona zawsze odpowiadała, że tak, ale...

Wiosną czterdziestego trzeciego roku wymieniliśmy się fotografiami, bo tak długo się nie widziałyśmy: Rose miała siedemnaście lat i była prześliczna, pozowała jak *pin-up girl* i uśmiechała się do obiektywu. Teraz miałam to zdjęcie przy sobie, już mocno sfatygowane i rozmiękłe na krawędziach.

– W ostatnim liście Rose pisała o chłopaku, z którym spotykała się w tajemnicy. Mówiła, że było to „bardzo ekscytujące”. – Drżąc, nabrałam powietrza. – To było na początku czterdziestego trzeciego. Potem nie miałam już żadnych wiadomości ani od Rose, ani od nikogo z jej rodziny.

Eve patrzyła na mnie, a jej zniszczona twarz była niczym maska. Nie umiałam stwierdzić, czy było jej mnie żal, czy mną gardziła, czy nic jej nie wzruszało.

Mój papieros wypalił się już prawie do końca. Zaciągnęłam się po raz ostatni i zgaśliam peta na spodku, z którego wysypywał się popiół.

– Wiedziałam, że to przecież o niczym nie świadczy, że Rose nie pisze. W czasie wojny poczta działa piekielnie źle. Trzeba tylko zaczekać,

aż wojna się skończy i listy znów zaczną przychodzić. Tymczasem wojna się skończyła, a tu nadal nic.

Znów cisza. To było trudniejsze, niż się spodziewałam – powiedzieć to wszystko.

– Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć. Trwało to całe wieki, ale w końcu otrzymaliśmy odpowiedzi. Mój francuski wujek zmarł czterdziestym czwartym, zastrzelili go, gdy usiłował nielegalnie zdobyć leki dla mojej ciotki. Dwóch braci Rose zginęło pod koniec czterdziestego trzeciego od wybuchu bomby. Ciotka przeżyła; moja matka chciała, aby zamieszkała z nami, ale ona się nie zgodziła. Zaszła się w domu pod Rouen. A Rose... – Przełknęłam ślinę. Rose przechadzająca się przede mną pośród zamglonej zieleni. Rose klnąca po francusku podczas szcztokowania niesfornych loków. Rose w tamtej prowansalskiej kawiarni w najszczęśliwszym dniu mojego życia... – Rose zniknęła. Opuściła swoją rodzinę w czterdziestym trzecim. Nie wiem dlaczego. Mój ojciec próbował się czegoś dowiedzieć, ale po wiosnie w czterdziestym czwartym ślad Rose się urywa. Nic.

– Wiele śladów urwało się w czasie wojny – rzekła Eve, a ja zdziwiłam się, słysząc jej chrapliwy głos tuż po tym, jak sama mówiłam tak długo. – Masa ludzi zginęła. Chyba nie myślisz, że ona jeszcze żyje? To już dwa lata od zakończenia tej pieprzonej w-wojny.

Zacisnęłam zęby. Moi rodzice już dawno uznali, że Rose na pewno nie żyje, że zginęła w wojennej zawierusze, i najprawdopodobniej mieli rację, lecz...

– Nie wiemy tego na pewno.

Eve przewróciła oczami.

– Tylko mi nie mów, że poczułabyś to, gdyby umarła.

– Nie musisz mi wierzyć. Po prostu mi pomóż.

– Czemu? Co to wszystko ma wspólnego ze mną, do cholery?



– Mój ojciec ostatnio wysłał zapytania do Londynu, żeby sprawdzić, czy Rose nie przyjechała tu z Francji. Był tu urząd pomagający uchodźcom. – Wzięłam głęboki oddech. – Pracowałam tam.

– W czterdziestym piątym i szóstym. – Eve naląła sobie więcej whisky do swojej kwiecistej filizanki. – Wywalili mnie w ostatnie święta.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że przychodziłam do pracy wstawiona. A może dlatego, że powiedziałam swojej szefowej, że jest mściwą, starą pizdą.

Nie mogłam się powstrzymać przed wzdrygnięciem. Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo, kto kłąby tyle co Eve Gardiner, a już na pewno żadnej takiej kobiety.

– Czyli... – Zakręciła swoją whisky. – Dokumenty twojej kuzynki pewnie znalazły się na moim biurku? N-nie pamiętam. Mówiłam ci, często przychodziłam wstawiona.

Nigdy też nie spotkałam kobiety, która by tyle piła. Moja matka pijała sherry, ale najwyżej dwa małe kieliszki. Eve wlewała w siebie czystą whisky, jakby to była woda, i już zaczynała niewyraźnie mówić. Może to jej jąkanie też było od picia.

– Dostałam kopię raportu dotyczącego Rose – powiedziałam zdesperowana, żeby zdążyć, zanim Eve odpłynie z braku zainteresowania albo z powodu whisky. – Był na nim twój podpis. Stąd wzięłam twoje nazwisko. Telefonowałam, udając twoją amerykańską siostrzenicę, i tak zdobyłam twój adres. Chciałam do ciebie napisać, ale... – Cóż, mniej więcej wtedy Drobny Kłopot zagnieżdził się w moim brzuchu. – Jesteś pewna, że nie pamiętasz, czy coś jeszcze było wiadomo o Rose? Cokolwiek?

– Posłuchaj, niunia. Nie mogę ci pomóc.

– Cokolwiek! W czterdziestym trzecim opuściła Paryż, rok później na wiosnę pojechała do Limoges. Tyle dowiedzieliśmy się od jej matki.

– Mówiłam, nie mogę ci pomóc.

– Musisz! – Stałam wyprostowana, choć nie pamiętałam, jak to się stało. Wewnątrz mnie wzbierała rozpacz niczym twarda kula,

znacznie cięższa od nieokreślonego cienia, jakim było moje dziecko. – Musisz mi pomóc! Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie pomożesz! – Jako dorosła kobieta nigdy nie krzyczałam, aż do teraz. – Rose Fournier, była w Limoges, miała siedemnaście lat...

Eve też się zerwała z miejsca. Była ode mnie dużo wyższa i górowała nade mną, stukając mnie w mostek jednym z tych swoich okropnych palców. Jej głos był groźny i cichy.

– Nie drzyj się na mnie w moim własnym domu.

– Teraz miałaby dwadzieścia jeden lat. Ma blond włosy, jest piękna i wesoła...

– Mam to gdzieś, może nawet być Joanną d’Arc. Nie obchodzi mnie to ani twoje problemy!

– ... pracowała w restauracji Le Lethe, u niejakiego *monsieur* René, ale nikt nie wie, co było potem...

W tym momencie na twarzy Eve coś się zmieniło. Nic się nie poruszyło, a mimo to coś się stało – tak jak coś się dzieje na dnie bardzo głębokiego jeziora, po czym prawie niezauważalnie wzbiera na jego powierzchni. Nie jest to nawet najdrobniejsza fala, a jednak wiadomo, że w głębi coś się porusza. Spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

– Co? – Dyszałam, jakbym przebiegła dwa kilometry, policzki mnie paliły od emocji, a żebra napierały na żelazny uścisk gorsetu.

– Le Lethe – powiedziała cicho. – Znam tę nazwę. Powiedziałaś, że k-kto był właścicielem?

Rzuciłam się do walizki, odsunęłam ubrania i odszukałam kieszeń w podszewce. Były tam dwie złożone kartki papieru. Podałam je Eve.

Spojrzała na krótką notatkę na górze strony, poniżej widniał jej podpis.

– Tu nie ma nic o nazwie restauracji.

– O tym dowiedziałam się później, spójrz na moje notatki na drugiej stronie. Zadzwoiłam do biura w nadziei, że będę mogła z tobą

porozmawiać, ale wtedy już tam nie pracowałaś. Namówiłam urzędnika, żeby odnalazł pierwotne sprawozdanie w dokumentacji. Była tam wymieniona nazwa Le Lethe, gdzie właścicielem okazał się niejaki *monsieur* René, znajdowało się tylko samo imię, nazwisko nieznane. Było bardzo przekręcone, więc może dlatego nie zostało wpisane do raportu. Założyłam jednak, że skoro podpisałaś raport, to widziałaś pierwotną notatkę.

– Nie. Gdybym ją widziała, nie podpisałaśbym raportu. – Eve spojrzała na drugą kartkę i nie odrywała od niej oczu. – Le Lethe... znam tę nazwę.

Nadzieja to bardzo bolesne uczucie, boleśniejsze od gniewu.

– Skąd?

Eve odwróciła się i znów sięgnęła po butelkę whisky. Nalała więcej do swojej filiżanki i wypła wszystko jednym haustem. Znowu napełniła filiżankę i zastygła, wbijając wzrok w przestrzeń gdzieś obok mnie.

– Wynos się z mojego domu.

– Ale...

– Możesz tu spać, jeśli nie masz dokąd p-p-pójść. Lecz rano ma cię tu nie być, jankesko.

– Ale... ale ty coś wiesz. – Wzięła lugera i przeszła obok mnie. Złapałam jej kościstą rękę. – Proszę...

Okaleczona dłoń Eve podniosła się szybciej, niż zdążyłam się uchylić, i teraz po raz drugi tego wieczoru celowano do mnie z pistoletu. Cofnęłam się, lecz ona zrobiła pół kroku do przodu i wycelowała lufę dokładnie między moje oczy. Od dotyku zimnego kółka ścierpła mi skóra.

– Ty stara wariatko – szepnęłam.

– Tak – wychrypiała. – I zastrzelę cię, jeśli nadal tu będziesz, gdy się obudzę.

Odeszła chwiejnym krokiem z salonu i dalej korytarzem bez dywanu.

## 2

### EVE

*Londyn, maj 1915*

Szansa zjawiła się w życiu Eve ubrana w tweed. Tego dnia dziewczyna spóźniła się do pracy. Jej szef niczego jednak nie zauważył, kiedy dziesięć po dziewiątej wślizgnęła się do biura działu prawnego. Sir Francis Galborough rzadko zauważał cokolwiek poza rosnącą stertą dokumentów na biurku.

– To dla ciebie, moja droga – powiedział, kiedy weszła, wręczając jej stos papierów.

Wzięła dokumenty w swoje szczupłe ręce. Była wysoką dziewczyną o orzechowych włosach, delikatnej skórze i zwodniczych, sarnich oczach.

– Oczywiście, s-s-sir.

Słowa na literę „s” były nie lada wyzwaniem. Dwukrotne zająknięcie uznała za swój sukces.

– Kapitan Cameron ma dla ciebie do przepisania francuski list. Powinieneś posłuchać, jak ona mówi po francusku! – powiedział sir Francis do chudego żołnierza, który siedział naprzeciwko niego przy biurku. – To prawdziwa perła ta nasza panna Gardiner. Pół-Francuzka! Ja nie znam ani słowa po ichniemu.

– Ja też nie. – Kapitan z uśmiechem bawił się swoją fajką. – Całkowicie mnie to przerasta. Dziękuję za wypożyczenie dziewczyny, Francis.

– Nie ma problemu!

Eve nikt nie zapytał, czy to dla niej jakiś problem. Niby dlaczego miałby zapytać? Dziewczyny z archiwum były w końcu czymś w rodzaju mebli. Wprawdzie bardziej ruchome niż paprotka, ale tak samo głupie i głuche.

„Masz szczęście, że dostałaś tę pracę”, upomniała się w duchu Eve. Gdyby nie wojna, pewnie jakiś młody mężczyzna z wypomadowanymi włosami zająłby posadę w kancelarii adwokackiej. „Masz szczęście”, powtórzyła w myślach. W istocie, dużo szczęścia. Praca Eve była prosta. Adresowanie kopert, wypełnianie papierów, od czasu do czasu przepisanie listu po francusku. Żyła we względnym komforcie. Nawet jeśli spowodowany wojną brak cukru, śmietany i świeżych owoców zaczynał coraz bardziej doskwierać, to cóż, była to niewielka cena za bezpieczeństwo. Równie dobrze mogła utknąć i głodować w północnej Francji okupowanej przez Niemców. Mieszkańcy Londynu krążyli przerażeni po mieście, wypatrując na niebie nadlatujących zeppelinów. Jednak Lotaryngia, gdzie dorastała Eve, zmieniła się w morze błota i krwi, o czym dowiedziała się z gazet, które teraz zawzięcie pochłaniała. Miała szczęście, że była tutaj, wystarczająco daleko, by czuć się bezpiecznie.

Dużo szczęścia.

Eve bez słowa wzięła list od kapitana Camerona, który od pewnego czasu regularnie zaglądał do biura. Zwykle zamiast zielonego munduru nosił wymięty tweedowy garnitur, jednak proste plecy i żołnierski krok zdradzały jego rangę lepiej niż jakiegokolwiek odznaczenia. Miał około trzydziestu pięciu lat i choć w jego głosie dało się słyszeć delikatny szkocki zaśpiew, stanowił kwintesencję wszystkiego, co angielskie. Wyjątkowo szczupły, z siwiejącymi włosami i w nieco pogniecionej marynarce wyglądał niczym najprawdziwszy brytyjski gentleman prosto z powieści Conan Doyle’a. Eve cisnęły się na usta pytania: „Musisz palić tę fajkę? Nosić ten swój tweedowy garnitur? Musisz być aż tak stereotypowy?”

Kapitan rozsiadł się na krześle i skinął głową Eve, która zmierzała w stronę drzwi.

– Poczekam na list, panno Gardiner.

– Tak, s-sir – wymamrotała, wycofując się.

– Spóźniła się pani – przywitała ją w archiwum panna Gregson, pociągając nosem. Jako że była najstarsza spośród wszystkich dziewcząt pracujących w archiwum, miała skłonności do rządzenia pozostałymi. Twarz Eve błyskawicznie przybrała wyraz głębokiego zakłopotania. Nienawidziła swojego wyglądu – delikatna i łagodna twarz, na którą patrzyła codziennie w lustrze, była na swój sposób ładna, lecz zupełnie pozbawiona wyrazu. Nie było w niej nic charakterystycznego poza ogólnym wrażeniem młodości sprawiającym, że ludzie brali ją za nastolatkę. Jednak w razie jakichkolwiek kłopotów wygląd zdecydowanie jej pomagał. Zawsze gdy tylko pojawiały się problemy, Eve rozwierała swoje wielkie oczy i mrugała szybko, sprawiając wrażenie niewinnej i zagubionej, co pozwalało jej uniknąć wszelkich konsekwencji. Panna Gregson westchnęła rozdrażniona i odwróciła się. Później Eve przyłapała ją szepczącą do innej dziewczyny:

– Czasem zastanawiam się, czy ta pół-Francuzka nie jest trochę ograniczona.

– No cóż – odpowiedziała jej rozmówczyni, wzruszając ramionami – przecież słyszała pani, jak ona mówi.

Eve skrzyżowała ręce na piersi, ściskając mocno ramiona, aby powstrzymać odruch zaciśnięcia dłoni w pięści. Skupiła uwagę na liście kapitana Camerona, tłumacząc go nieskazitelną francuszczyzną. W końcu po to ją zatrudnili. Dla perfekcyjnej znajomości francuskiego i angielskiego. Choć Eve miała dwie ojczyzny, w żadnej nie czuła się jak w domu.

Kiedy później wspominała ten dzień, wydał jej się nieznośnie nudny. Pisanie, wypełnianie dokumentów, w południe kanapka, którą

sobie przygotowała. Taksówka, która ochlapała jej spódnicę, gdy brnęła w stronę domu o zachodzie słońca. Zatechły zapach smażonej wątróbki i mydła lifebuoy w bursie w Pimlico. Wymuszony uśmiech, który posłała innej pensjonariuszce, młodej pielęgniarce, która właśnie się zaręczyła z młodym porucznikiem i siedziała przy stole, połyskując małym diamentem na palcu.

– Powinnaś pracować w szpitalu, Eve. Tam można znaleźć męża, nie w archiwum!

– Nie z-zależy mi na znalezieniu męża.

Zarówno pielęgniarka, jak gospodyni i jeszcze jedna z pensjonariuszek na te słowa rzuciły jej zdziwione spojrzenie. „Skąd to zaskoczenie – pomyślała Eve. – Nie chcę męża, dzieci, weselnego zespołu ani zastawy. Chcę...”

– Chyba nie jesteś jedną z tych sufrażystek, co? – zapytała gospodyni, zatrzymując łyżkę w połowie drogi do ust.

– Nie. – W istocie, Eve nie zależało na wrzucaniu do urny karty do głosowania. Trwała wojna, a ona chciała walczyć. Chciała udowodnić, że jąkała Eve Gardiner może służyć swojej ojczyźnie równie dobrze, jak tysiące innych, płynnie mówiących osób, które całe życie okazywały jej lekceważenie, uznając ją za idiotkę. Jednak żadna ilość rzucanych przez sufrażystki cegieł nie mogła pomóc jej dostać się na front. Ani jako wolontariuszce, ani jako kierowcy ambulansu. Odrzucono jej kandydaturę na oba stanowiska z powodu jąkania. Odsunęła talerz, przeprosiła i odeszła od stołu, udając się do swojego schludnego pokoju, w którym stało jedynie rozklekotane biurko obok wąskiego łóżka.

Kiedy rozplątywała włosy, usłyszała pod drzwiami mruczenie. Uśmiechnęła się i wpuściła do pokoju kota gospodyni.

– Zostawiłam ci trochę wątróbki – powiedziała, sięgając po zawiąnięty w serwetkę kawałek mięsa, który zabrała ze swojego talerza. Kot wyprężył się, mrużąc. Trzymany wyłącznie do polowania na myszy,

żywił się skromnymi odpadkami z kuchni i tym, co udało mu się złapać. Przytył jednak ostatnio dzięki wrażliwej duszy Eve, która przynosiła mu resztki z kolacji.

– Chciałabym być kotem – powiedziała Eve, podnosząc pręgowane zwierzę na swoje kolana. – Koty nie m-m-m... Nie muszą mówić, chyba że w bajkach. Choć może powinnam po prostu chcieć być mężczyzną.

Gdyby była mężczyzną, mogłaby chociaż uderzyć każdego, kto skomentowałby jej jąkanie, zamiast cierpliwie się uśmiechać. Eve głośkała mruczącego kota.

– Równie dobrze mogę sobie życzyć gwiazdki z nieba.

Godzinę później ktoś zapukał do drzwi. Była to gospodyni z ustami zaciśniętymi tak mocno, że mało całkiem nie zniknęły.

– Ma pani gościa – oznajmiła oskarżycielsko. – To mężczyzna.

Eve odłożyła na bok protestującego kota.

– O tej porze?

– Tylko bez tych niewinnych oczu, panienko. Żadnych adoratorów po zmroku, taka jest moja zasada. Zwłaszcza żołnierzy. Powiedziałam mu to, ale twierdzi, że to pilne. Pozwoliłam mu poczekać w salonie. Możecie wypić herbatę, lecz drzwi mają zostać uchylone.

– Żołnierz? – zdziwiła się Eve.

– Kapitan Cameron. To doprawdy nie do pomyślenia, że odwiedza panią wojskowy, i to po zmroku!

Eve przytaknęła, spinając z powrotem swoje kasztanowe włosy i zarzucając na bluzkę z golfem żakiet, jakby znów szła do biura. Niektórzy mężczyźni w każdej pracującej dziewczynie, sprzedawczyni czy pracownicy archiwum widzieli swoją szansę. „Jeśli przyszedł tu na zaloty, spoliczkuję go – pomyślała Eve. – Nawet jeśli zgłosi to sir Francisowi i stracę przez to pracę”.

– Dobry wieczór. – Eve otworzyła na oścież drzwi od salonu, od razu narzucając spotkaniu oficjalny charakter. – Zaskoczył mnie



pan, k-k-k... – Jej prawa ręka zacisnęła się w pięść i udało jej się wykrztusić – ... kapitanie. Czym mogę s-służyć?

Uniosła dumnie głowę, nie pozwalając, by zażenowanie zaróżowiło jej policzki.

Ku jej zaskoczeniu kapitan Cameron odpowiedział po francusku.

– Może przejdziemy na francuski? Słyszałem, jak pani rozmawiała z innymi dziewczętami po francusku i wtedy jąkała się znacznie mniej.

Eve wpatrywała się w tego typowego Anglika, który rozsiadł się w fotelu w salonie ze swobodnie skrzyżowanymi nogami i uśmiechał się lekko spod swojego przystrzyżonego wąsa. Przecież nie mówił po francusku. Powiedział to jeszcze tego samego dnia rano.

– *Bien sûr* – odpowiedziała. – *Continuez en Français, s'il vous plait.* Kontynuował po francusku.

– Pani gospodyni podsłuchująca nas na korytarzu będzie wściekła.

Eve usiadła, wygładzając niebieską wełnianą spódnicę, i pochyliła się nad dzbankiem z herbatą.

– Jaką herbatę pan pije?

– Z mlekiem i dwiema kostkami cukru. Panno Gardiner, proszę mi powiedzieć, jak dobrze mówi pani po niemiecku?

Eve gwałtownie uniosła głowę. Nie wspominała o tej umiejętności, kiedy szukała pracy. Rok 1915 nie był najlepszym czasem na przyznawanie się do języka wroga.

– N-nie mówię po niemiecku – odpowiedziała, podając mu filiżankę.

– Mhmm. – Spoglądał na nią znad swojej herbaty. Eve położyła ręce na kolanach i odwzajemniła jego spojrzenie wzrokiem pełnym uroczego zakłopotania.

– Pani twarz... – zaczął kapitan. – Trudno powiedzieć, co się za nią kryje, nie sposób cokolwiek z niej wyczytać. A ja jestem dobry w czytaniu z twarzy, panno Gardiner. Zwykle ludzie zdradzają maleńkie mięśnie wokół oczu. Pani ma swoje pod kontrolą.

- Eve znów otworzyła szeroko oczy, mrugając niewinnie.
- Obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi.
  - Pozwoli pani, że o coś zapytam, panno Gardiner? Wszystko w granicach przyzwoitości, obiecuję.
- Przynajmniej nie próbował pogłaskać jej po kolanie.
- Oczywiście, panie k-k-kapitanie.
- Oparł się wygodniej na fotelu.
- Sir Francis wspominał, że jest pani sierotą. Czy mogłaby pani opowiedzieć mi coś o swoich rodzicach?
  - Mój ojciec był Anglikiem. Wyjechał do Lotaryngii, żeby pracować we francuskim banku. Tam poznał moją matkę.
  - Była Francuzką? To bez wątpienia wyjaśnia pani perfekcyjną znajomość języka.
  - Tak.
- „Ciekawe, skąd wie, że mój akcent jest rzeczywiście perfekcyjny”, dodała w myślach.
- Wydawałoby się, że dziewczyna z Lotaryngii mogłaby znać również niemiecki. To niedaleko od granicy.
- Eve spuściła wzrok.
- Nie uczyłam się niemieckiego.
  - Doprawdy świetnie pani kłamie, panno Gardiner. Nie chciałbym grać z panią w karty.
  - Damie nie wypada grać w karty. - Choć każdy nerw zdawał się ją ostrzegać, Eve była odprężona. Zawsze się rozluźniała, kiedy wyczuwała niebezpieczeństwo. Moment, gdy się ukrywała w sitowiu podczas polowania na kaczkę, tuż przed wystrzałem. Palec na spuście, ptak zastygł w bezruchu, kula zaraz zostanie wystrzelona. W tamtych chwilach Eve czuła głęboki spokój, a bicie jej serca spowalniało. Zwolniło również teraz, kiedy nachyliła głowę ku kapitanowi.
  - Pytał pan o moich rodziców? Mój ojciec żył i pracował w Nancy, matka zajmowała się domem.

– A pani?

– Chodziłam do szkoły. Każdego popołudnia wracałam na podwieczorek. Matka uczyła mnie francuskiego i haftu, a ojciec angielskiego i polowania na kaczki.

– Pełna kultura.

Eve uśmiechnęła się słodko, wspominając jednocześnie wrzaski za zaciągniętymi zasłonami, prostacki bełkot i brutalne kłótnie. Nauczyła się nakładać maskę delikatności, lecz wychowała się w zgoła mniej ciepłarnianych warunkach. Ciągłe krzyki i tłuczenie porcelany, ojciec wydzierający się na matkę za trwonienie pieniędzy, matka wrzeszcząca na ojca za to, że ktoś go widział z kolejną barmanką. Był to dom, w którym dziecko szybko się uczy, jak przemykać niezauważone pod ścianą pokoju, znikać niczym cień po zapadnięciu zmroku na pierwszy dźwięk awantury. Słuchać wszystkiego i zapamiętywać, cały czas pozostając niezauważonym.

– Tak, to było bardzo pouczające dzieciństwo.

– Proszę wybaczyć pytanie... To jąkanie, miała je pani od zawsze?

– Było bardziej w-w-wyraźne, kiedy byłam dzieckiem.

Jej język zawsze się szarpał i potykał o słowa. Jedyna część Eve, która nie była delikatna i dyskretna.

– Musiała pani mieć dobrych nauczycieli, że pomogli pani z tym walczyć.

Nauczycieli? Widzieli, jak się czerwieniła, gdy słowa blokowały jej usta na tak długo, że była bliska płaczu. Jedyne, co robili, to zadawali pytanie kolejnemu uczniowi, który mógł szybciej na nie odpowiedzieć. Większość miała ją za głupkowatą, myśleli, że nie potrafi się wysłowić. Niechętnie odrywali się od swoich zajęć, by odciągnąć od niej dzieci, które otaczały Eve, krzycząc: „Powiedz, jak się nazywasz, powiedz! G-g-g-g-ardiner”. Czasem śmiali się razem z nimi.

Nie. Eve zmusiła jąkanie do posłuszeństwa brutalną siłą woli, czytając na głos wiersze, jeden drżący wers za drugim. Przesiadywała

w sypialni, potykając się o samogłoski tak długo, aż w końcu jej język odbijał się od nich, wypuszczając słowo na wolność. Pamiętała, jak na dziesięć minut utknęła we wstępie do *Kwiatów zła* Baudelaire'a, a przecież francuski był jej „lepszym” językiem. Baudelaire twierdził, że gdy pisał *Kwiaty zła*, cierpliwość mieszała się w nim z wściekłością. Eve rozumiała to doskonale.

– Pani rodzice – kontynuował kapitan Cameron – co się z nimi stało?

– Mój ojciec zmarł w 1912 roku. Miał zator w sercu. – Zator spowodowany nożem rzeźniczym, wbitym w serce przez człowieka, któremu ojciec Eve przyprawił rogi. – Mojej matce nie podobała się sytuacja w Niemczech, więc postanowiła zabrać mnie do Londynu. – Tak naprawdę chciała uniknąć skandalu, a nie Niemców. – Zmarła na gripę w zeszłym roku, niech spoczywa w spokoju.

Zgorzkniała, wulgarna, pouczała Eve aż do końca, ciskając w nią filizankami herbaty i przeklinając.

– Niech Bóg ma ją w swojej opiece – powtórzył kapitan z żalem, w którego szczerość Eve nie uwierzyła nawet na chwilę. – I oto jest pani tutaj, Evelyn Gardiner. Sierota władająca perfekcyjnym francuskim i perfekcyjnym angielskim... Jest pani pewna co do niemieckiego? Pracując w biurze mojego przyjaciela, sir Francisa Galborough, prawdopodobnie zabija pani czas, czekając, aż wyjdzie za mąż. Ładna dziewczyna, choć na ogół trudno ją zauważyć. Czy to przez nieśmiałość?

Pręgowany kot wszedł przez otwarte drzwi, zapowiadając się głośnym miauknięciem. Eve przywołała go na swoje kolana.

– Panie kapitanie – odezwała się, głaszcząc kota pod brodą z uśmiechem, który sprawił, że wyglądała na szesnaście lat – czy próbuje mnie pan uwieść?

Udało jej się go zaskoczyć. Zawstydzony, odchylił się do tyłu w fotelu i poczerwieniał.

– Panno Gardiner, nawet przez myśl mi nie przeszło...  
– Cóż więc pan tu robi? – zapytała wprost.  
– Jestem tu, aby panią ocenić. – Skrzyżował nogi, odzyskując pewność siebie. – Mam panią na oku od kilku tygodni. Od momentu, kiedy wstąpiłem do biura mojego przyjaciela, udając, że nie znam francuskiego. Mogę mówić wprost?

– Myślałam, że od początku rozmawiamy otwarcie.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek mówiła pani wprost, panno Gardiner. Słyszałem, jak cichutko przedstawia pani swoim koleżankom wymówki, by uniknąć obowiązków, które wydają się pani nudne. Słyszałem, jak kłamie im pani prosto w twarz, podając powód dzisiejszego spóźnienia. Coś o taksówkarzu, którego niechciana uwaga spowodowała pani opóźnienie... Za każdym razem jest pani niewzruszona, kłamie pani bez wahania, za to pięknie udaje zdenerwowanie. Nie spóźniła się pani przez zaloty taksówkarza. Dobre dziesięć minut wpatrywała się pani w plakat z ogłoszeniem o pracy na drzwiach biura. Mierzyłem czas, obserwując panią z okna.

Tym razem to Eve opadła na fotel z rumieńcem na twarzy. Rzeczywiście, gapiła się na plakat, który przedstawiał rząd młodych, rosnących żołnierzy, niemal identycznych. Napis na środkowej pustej przestrzeni głosił: „W szeregu wciąż jest miejsce dla CIEBIE!”, nad nim widniał nagłówek: „ZAJMIESZ JE?”. I rzeczywiście, Eve stała tam, myśląc z żalem, że to nie do niej. Pomiędzy żołnierzami dodano małą czcionką: „To miejsce jest zarezerwowane dla sprawnego mężczyzny!”. A więc Eve nie mogła go zająć, choć miała dwadzieścia dwa lata i była zupełnie sprawna.

Kot na kolanach zaprotestował, gdy poczuł, jak jej palce zaciskają się na jego futrze.

– A zatem, panno Gardiner – odezwał się znów kapitan Cameron – czy otrzymam od pani szczerą odpowiedź, jeśli o coś zapytam?

„Nie licz na to”, pomyślała Eve. Kłamstwa i wykręty przychodziły jej równie łatwo jak oddychanie. Robiła to przez całe swoje życie, musiała to robić. Kłamała z twarzą niewinną niczym stokrotka. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była z kimś zupełnie szczerą. Kłamstwa były prostsze od brutalnej prawdy.

– Mam trzydzieści dwa lata – zaczął kapitan. Jego pobrużdżona twarz sprawiała, że wyglądał na starszego. – To za dużo, żebym mógł walczyć na froncie. Mam inne zadanie. Nasze powietrze jest pełne niemieckich zeppelinów, nasze wody niemieckich okrętów podwodnych. Atakują nas codziennie.

Eve skwapliwie pokiwała głową. Dwa tygodnie temu zatopiono Lusitanię. Mieszkanki bursy płakały całymi dniami. Eve, rozwścieczona, lecz bez jednej łzy, pochłaniała gazety.

– Potrzebujemy ludzi, żeby zapobiec kolejnym atakom – kontynuował. – Moim zadaniem jest znaleźć odpowiednich ludzi. Na przykład takich, którzy znają francuski i niemiecki, którzy potrafią kłamać, zachowując niewinny wygląd. Są odważni. Kiedy ich znajdę, zatrudniam, żeby wywęszyli, jakie plany wobec nas mają szkopy. Widzę w pani potencjał, panno Gardiner. Zatem proszę pozwolić, że zapytam, czy jest pani gotowa bronić Anglii?

Pytanie uderzyło ją niczym młot. Roztrzęsiona, głośno wypuściła powietrze, odkładając kota na bok, i odpowiedziała bez zastanowienia:

– Tak.

Cokolwiek miał na myśli, odpowiedź była twierdząca.

– Dlaczego?

Zaczęła składać w głowie jakąś patetyczną odpowiedź, coś o podłych szwabach, o tym, że mogłaby pomóc żołnierzom w okopach. Powoli pozwoliła, by kłamstwo opuściło jej myśli.

– Chcę udowodnić każdemu, kto kiedykolwiek pomyślał, że jestem przygłupia i słaba, bo się jąkam, co naprawdę potrafię. Chcę w-w-w... Chcę w-w-w...

Słowo utknęło jej w ustach na długo, aż poczuła, jak palą ją policzki. Kapitan Cameron nie próbował skończyć za nią zdania, jak to robiła większość ludzi. Odruch, który nappełniał ją wściekłością. Siedział cicho, aż uderzyła zaciśniętą pięścią w kolano, a słowo uwolniło się z jej krtani. Wykrztusiła je przez zaciśnięte zęby tak gwałtownie, że wypłoszyła kota z pokoju.

- Chcę walczyć.
- Czyżby?
- Tak.

Trzy szczerze odpowiedzi. To był jej rekord. Siedziała bliska płaczu, trzęsąc się pod jego uważnym spojrzeniem.

- Zapytam więc po raz czwarty i ostrzegam, że nie będzie piątego. Czy mówi pani po niemiecku?

- *Wie ein Einheimischer* – odparła. Jak rodowita Niemka.
- Doskonale. – Kapitan Cecil Aylmer Cameron wstał. – Evelyn Gardiner, czy chciałaby pani służyć Koronie Brytyjskiej jako szpieg?